Nr. 1. I. Stycznia 1872. Tom IV.

Rok XIII.
Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1., 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje z przesyłką pocztową w państwie Austryackiem 2 złr. rocznie, 1 złr. półrocznie. W Prusach 2 tal. r. 1 tal. półrocznie.

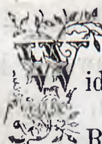
DZWONEK

Pismo dla Ludu.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Cały nakład pierwszego numeru „Dzwonka“ został przez c. k. Prokuratoryę Państwa zabrany, przezco się wydanie spóźniło.

Przed stu laty.



Widzicie! oto kraj nasz szeroki,
Jak zastawiony dla gości stół!
Różnowzorowym kryty kobiercem,
Na nim chleb biały i sól i miód;
Jak siwy gazda z otwartem sercem
Łańcuch gór śnieżnych wystąpił wprzód,
Puharem stoi jedno — drugie morze....
Mój Boże — mój Boże!..

A na tej ziemi lud się położył,
Lew, co przed światem straż trzymał wciąż,
Gdy wstrząsnął grzywą, gdy brew nasrożył
Kłębem się zwijał pogaństwa wąż;
A żywot jego jako stal twardy
I w słońcu wiary błyskał jak stal.
Przed Bogiem korny, sąsiadom hardy
Rozrastał w sławie — toż szumem fal
Klaskało jemu jedno — drugie morze....
Mój Boże — mój Boże!...

Kornel Ujejski.

Stuletnia rocznica.

Sto lat mija, jak Moskale napadli na Polskę. Odtąd zaczęło się srogie prześladowanie, wygnali z kraju tysiące ludu daleko na północ, w zimny Sybir, innych zamknęli w ciemnych lochach, jakby na zgnicie, a ci, co zdołali uciec, muszą się błąkać po obcych i dalekich krainach, i szukać chleba u Francuzów lub Anglików, albo nareszcie u niewiernych Turków. Prusacy znów powykupywali podstępem grunta i od szlachty i od chłopów, a ci musieli wychodzić z własnej ojcowizny i szukać chleba za granicą w obczyźnie. I dotąd jeszcze w ten sam sposób postępują, a niedawno Kaszubi i Polacy wyszli do Francyi. I błąkają się też nasi po całym świecie, nieprzymierzając jak żydzi, jak to przepowiedział błogosławiony ksiądz Skarga.

Jak dobry syn co roku w dzień zaduszny przynajmniej przypomina sobie nieboszczyka ojca i niesie krwawo uzbierany grosik na mszę świętą do kościoła, aby ojcu wyjednać ulgę w cierpieniach zaziemskich; a jak w mieście i na wsi jest zwyczaj, że po utracie drogich osób ludzie noszą żałobę, a kościół nawet jako znak żałoby uważa kolor czarny; tak też i my rozpamiętujmy w smutku, modlitwie i pracy tak smutną pamiątkę. Toć też i pierwszy numer Dzwonka przywdział czarną sukienkę.

Polacy wszyscy postanowili nie bawić się w zapusty. Że zaś praca i nauka cudów dokazują; że większa część Polaków, naszych chłopków, potrzebuje tej nauki, więc będą zbierać składki na szkółki wiejskie, na nagrody dla pilnych nauczycieli i dzieci wieśniaczych — a grosz do grosza, da Bóg, uzbiera się taka suma, że staną w całym kraju szkółki, owe przybytki, co to po kościele najmilsze sa Bogu, i da Bóg, owa żałoba zamieni się w radość.

Pogadanki.

Ciężkie czasy, zła dola, bieda, co raz trudniej żyć na świecie, powtarzają gospodarze od źródeł Wisły aż do Czarnego morza, a jest wszystkich kilkadziesiąt milionów, co tak narzekają, a narzekają od roku do roku, od miesiąca do miesiąca, od rana do wieczora. To prawda, że ciężkie czasy i bieda coraz większa. Podatki rosną, zarobku coraz mniej, ludzi coraz więcej, a tu nie wiedzieć zkąd grosza dostać. Ale popatrzcieno wyżej: tu Prusak, tam Moskale siedzą w kraju naszym ojczystym, a choć nie sieją ani orzą, ani gruntu nawet nie mają, toć siedzą rozparci na wygodnych miękkich stołkach, w malowanych wielkich pokojach, i jedzą co najlepsze potrawy, i piją zagraniczne wina i palą drogie cygara, i śmieją się do rozpuku i śmieją, i powiadają: głupi Polak płać? — i zbierają grosze i robią majątki i śmieją się jeszcze więcej. A tu niejeden chudzina całuje ich po rękach, kłania się niziutko aż do samej ziemi, i jeszcze mu się zdaje, że Moskal lub Prusak, to jego najlepszy, najserdeczniejszy przyjaciel, że to jego opiekun i oswobodziciel.

Domki biedne, obdarte, pochylone ku ziemi, zaledwie od wiatru się nie powalą; ścianami i oknami wiatr jak przez przetak wieje, dach przegniły, stodoła się wali, stajni nie ma, w chacie z bydlętami mieści się gospodarz z gospodynią i kilkorgiem dzieci obdartych, bez butów i ciepłej odzieży — a tu przednowek, nie ma i jednego grosza na sól. A więc ostatnia krówka idzie na jarmark, albo kożuch do żyda, albo też gospodarz drżącą ręką, znakiem krzyża świętego kreśli swoje imię na papierze u żyda, i za kilka lub kilkanaście reńskich sprzedał jakby swoje życie, bo swój grunt i chudobę. Podpisał on pismo, czyli jak to ludzie nazywają, weksel na sto, a wziął zaledwie 50 złr. i jeszcze przyobiecał płacić wysokie procenta. Nadchodzi czas zapłaty, a tu nie ma pieniędzy, więc w prośby do żyda. Ten niby to wzruszony litością, powiada, że zaczeka, ale trzeba inne pismo na sto pięćdziesiąt podpisać. Gospodarz wzdycha, poskrobie się w głowę, czasem łza mu w oku stanie, ale cóż robić? — trza podpisać, bo

nie ma. Kto już raz dostał się w takie pazury, ten już nie wylezie prawie nigdy. Czasem dłużej, czasem prędzej niż się spodziewał traci wszystko, jak do tego, czy dług był większy, czy mniejszy, czy gospodarstwo małe, czy wielkie. Bo kiedy nareszcie żyd miarkuje, że już biedny chłopek wywinąć się nie potrafi, wyrabia u sądu egzekucyę i biedaczysko ani się obejrzy, jak go wyrzucą z chałupy, zabiorą grunt, a jego puszczą na żebry z całą rodziną. Za to w wiosce takiej karczem cztery albo pięć, dokoła każdej stodoły wielkie i zasobne, pełno w nich zboża wszelakiego rodzaju, a oprócz tego jeszcze stoją na podwórzu sterty siana i pszenicy, starannie okryte, co się w stodole pomieścić nie mogły. W komorze arendarzowskiej pełno dostatku i zasobów, że i ptasiego mleka prawie nie brak. W izbie sypialnej bety (pierzyny) pod samą powałę a w szafach pełno przyodziewku — a pieniądze! Pieniędzy arendarz w domu nie trzyma, kupił sobie grunta, drugie odnajmuje od dworu i gospodarzy, a resztę rozpożyczył. W karczmie wprawdzie brudno i niechlujnie, ściany obszarpane, stoły i ławy błotem pokryte, ale za to w sypialni jak w pudełku. Arendarz pokorniutki, zdaje się słodki jak miód, zawsze się uśmiecha, nigdy prawie nie gniewa, wita zawsze serdecznie wszystkich znajomych, pogada, pożartuje. W dnie powszednie chodzi obtargany i brudny, ale zobaczcie no go w sobotę! jakie futra, suknie czapki i pasy, niech się i dziedzic schowa. Niejeden biedaczysko czasem sobie pomyśli: zkąd u niego takie dostatki? przecież nie orze, nie żnie, nie młóci, nie pracuje w pocie czoła jak ja, a tak bogaty! — widać już takie przeznaczenie — Zapytaj teraz o szkółkę i kościół. Szkółka wprawdzie jest, ale cóż kiedy do niej nikt nie chodzi, a przynajmniej bardzo mało dzieci i rzadko; nauczyciel dobry, ale gromada go nie lubi, bo mu musi płacić, a jej się zdaje, że nie ma za co; na sprzęty szkolne brak zawsze pieniędzy, dachu i domu nie chcą naprawiać, póki nie wyjdzie nakaz z becyrku. Kościółek maleńki, zaledwie połowa ludności może się w nim pomieścić, pochylony, opuszczony, podobnie jak chaty.

Opodal znów się bielą ładne domki, czyściutkie, nowiutkie na oko, budowane z cegły, pokryte dachem, ustawione

rzędem, do koła każdego i stodoły i brogi i stajenki dostatnie, i koniki i bydełko piękne, i gospodarze czysto i porządnie ubrani, jednem słowem widać, że zamożni i ochędodzy. Na środku wioski prawie stoi okazały budynek, jakby dwór jaki: to szkoła, a ztąd niedaleko kościół wspaniały. Jakoś to jednak wszystko nie po naszemu wygląda, bo i dzwonnicy i sygnaturki nie widać; ale posłuchajmy! właśnie wychodzą ludzie z kościoła, coś nie zrozumiale rozmawiają, szwargoczą jakimś dziwnym językiem — oj, z pewnością to nie nasi! to osadnicy Niemcy, przybysze z obcych, dalekich krajów, co tu polski chleb zjadać przyszli; ów kościół nie katolicki, to zbór luterski.

A przecież grunta obu wiosek prawie graniczą z sobą; i tu i tam ziemia jednakowa i jednaka niemal suma morgów wypada na każdego gospodarza. Dlaczegoż to jedni tak biedni, a drudzy zamożni? I znów niejeden sobie i pomyśli i powie: widać takie już przeznaczenie!

Gdzieindziej znowu wioska na oko z daleka okazała, domy wielkie, często nawet murowane, widać, że tu bywają targi, coś to niby jak miasteczko. Ale dachy przegniły, mury się walić poczynają, chaty popodpierane lichemi słupami, jednem słowem, wszystko jakby po pożarze lub po napadzie nieprzyjacielskim. A tu, dzięki Bogu, ognia nie było od dawna i spokój w kraju panuje od wieku. Cóż się tedy stało, że mieszkańcy tak zubożeli? Oto powiadają sami: dawniej robiliśmy płótna, dymki i drelichy, chodziło się od jarmarku do jarmarku, wszędzie byli kupcy, był więc i zarobek i grosza podostatkiem. Jakoś to przy małym kawałeczku gruntu i żyć było można i chatę opatrzyć i rodzinę odziać przyzwoicie. Dziś o płótno nikt nie zapyta, bo z zagranicy piękniejsze i tańsze, tak że trzeba było wyrobu zaprzestać. Kawałątko gruntu nie wystarcza na wszystko, więc i chaty się walą i żyć nie ma z czego.

Były u nas niegdyś wielkie i potężne miasta, były wsie bogate, chleba podostatkiem i pieniędzy dużo; dziś ani śladu dawnej zamożności, miasta w ruinach, a nędza zagląda do domów.

Niegdyś od morza do morza kraj nasz się rozciągał, bogaty, poważny i potężny; dziś żyjemy w poniewierce u innych, co się z nas urągają i wyśmiewają, co wyciskają ostatni grosz z chaty na to, aby się zbogacili. Jednym odebrali ziemię i puścili ich na żebry, drugim odmawiają wszystkiego, a nawet nie pozwalają im mówić po polsku i wiarę naszą nam wydzierają.

Niegdyś wiedzieli wszyscy i szlachta i mieszczanie i chłopi, że są polakami; Rusini razem z ludem mazurskim walczyli o swobodę, wyznawali jednakową wiarę i nie łączyli się z swoimi nieprzyjaciołmi: z Moskalami. Dziś powaśnieni kłócimy o to, czego nie mamy sami; brat bratu nie wierzy i chciałby go w łyżce wody utopić.

I zapyta niejeden: Czy się też polepszy kiedyś nasza dola? Polepszy się z pewnością polepszy! odpowiedział mi chłopek, skromnie, ale czysto ubrany, co siedział obok mnie przy jednym stole i kończył szklankę piwa. I dziwiłem się niezmiernie i ucieszyłem, i pytam dalej: Ale w jakiż sposób?

— Przez naukę i pracę, odpowiada,

— A odzyskamy też cośmy utracili?

— Oj, odzyskamy z pewnością — mówi chłopek dalej.

— A jak? — pytam znowu.

— Przez naukę i pracę.

— Czy się nie damy obdzierać cudzym przybyszom; czy nie odbiorą nam naszej mowy i wiary; czy szczęście i zamożność zawitają do chat wieśniaczych: czy bracia pogodzą się znowu?

— Nie damy się obdzierać przybyszom i szachrajom, nie odbiorą nam naszej mowy i wiary, szczęście i zamożność znów zawitają do naszego kraju, a bracia pokochają się, jak Bóg przykazał, ale dojdziemy do tego jedynie: przez naukę i pracę.

Tak niespodzianie zagadnięty, uścisnąłem serdecznie Macieja za rękę, jakby był moim znajomym od dzieciństwa, a tu

dopiero pierwszy raz go widziałem. Tak jest, największym nieprzyjacielem ludu naszego, najpodlejszym doradcą, najgorszym gospodarzem, najokrutniejszym wrogiem: to ciemnota. Ona to przyczyną nieszczęść i nędzy, ona prowadzi lud nasz na bezdroża, ona wiedzie do karczmy, namawia do zbrodni, a nawet kieruje na szubienicę. I jakże ją pobić i wykorzenić? Oto znów: przez naukę. A pierwszym początkiem nauki, czyli jak mądrzy ludzie nazywają, oświaty, to szkółka wiejska, owa skromna, opuszczona szkółka; to nauka czytania i pisania, to książka drukowana, co podaje pożyteczne wiadomości. Więc na czytaniu i pisaniu jeszcze nie koniec. Kto chce nauki, kto chce być oświeconym, kto chce, aby był prawdziwie człowiekiem, ten musi znać i wypełniać obowiązki i powinności względem Boga i rodzinnej ziemi, względem rodziców swoich i bliźnich — a tego może się z książek mądrych nauczyć.

Niezmiernie uradowany, żem znalazł chłopka, co tak dobrze i mądrze umiał odpowiadać, rozgadałem się z nim na dobre. Minęła godzina jedna i druga, a pogadanki ani końca. Jakaż była moja pociecha, gdy się dowiedziałem, że wszyscy gospodarze w tej wiosce podobnie myślą i czują, że wszyscy prawie zamożni i pracowici.

I któż was tego nauczył? — zapytałem nareszcie.

— A juźci Marcin Królewiak — odpowiada Maciej. Niedaleko ztąd stoi jego chata, niby dwor jaki, taka czysta i ładna. Oj dziwny to człowiek, ten Marcin! Pamiętam jeszcze za nieboszczyka ojca u nas we wsi tak było jak i gdzieindziej: bieda, głupota, z przeproszeniem, i pijatyka. Kiedy się zjawił Marcin, to jakby anioł z nieba. Jak zacznie zacznie mówić, to aż serce skacze, i perswaduje i opowiada i dopomoże uczciwemu gospodarzowi, tak że po latach dwudziestu anibyś poznał naszą wioskę. Stanęły domy jakby murowane, wystawiliśmy szkołę, poprawili kościół, zrobiliśmy spichlerz wielki, zsypali zboże, zaprowadzili kasę gminną — ot jednem słowem wszystko się zmieniło jakby cudem jakim, a wszystko za namową i pomocą Marcina. Czy to chrzciny, czy wesele, czy obżynek, Królewiak był wszędzie; coś przemówił, pouczył, a tak mądrze,

tak uczciwie i serdecznie, że nikogo nie przymuszał, a przecież wszyscy go usłuchali. Pomału począł zwoływać i zapraszać co niedziela do siebie gospodarzy ze wsi. Jedni przychodzili, drudzy nie dali sobie nawet wspomnieć, bo to, jak mówili, jakiś przybysz Bóg wie zkąd i po co. Ale że miał majątek ładny i grosza nie skąpo, i dwa grunta, a nie żałował niczego, aby tylko swoich braci, jak mawiał, czegoś nauczyć i dopomódz im, więc schodzili się potem gromadnie. I tak jakoś samo to przyszło, że za kilka lat i chaty nowe się pobudowały, i szkółka stanęła, i wszystko się zmieniło na lepsze.

Bardzo byłem rad poznać owego Marcina Królewiaka i prosiłem Macieja, aby mnie tam zaprowadził. Tak się też stało. A że kolega mój, u którego przez tydzień na wakacyach przebywałem, mieszkał niedaleko, więc codziennie odwiedzaliśmy go i polubiliśmy się jak bracia. Kiedym go zapytywał, w jaki też to sposób chłopków w swojej wiosce tak wiele nauczył i do takiej zamożności doprowadził, wyjął z szafy dużą księgę i powiada:

— Tu spisałem sobie wszystko na wieczną pamiątkę, co się działo przez lat piętnaście w tej wiosce, cośmy mówili wieczorami: jak to z początku nikt mi nie chciał wierzyć i jak nareszcie wszyscy mię posłuchali, i jak myślę, na dobre wyszli. Toć to za długie byłoby może dla was, ale trudno — najlepiej dowiecie się, kiedy przeczytacie.

Prosiłem go, czyby mi nie mógł pożyczyć owej księgi na czas dłuższy do drukowania.

Jać tam pisarzem, co prawda, nie byłem nigdy, ale kiedy to może wyjść komuś na pożytek, to wam ofiaruję. Bodajby wszystkim tak posłużyło jak moim sąsiadom. Spisywałem tę książkę bez porządku, ot tak jak się to u nas działo. Raz o tem, drugi raz rozmawialiśmy o czem innem, a ja w pamięci w wolnym czasie spisałem owe pogadanki.

Podziękowałem mu serdecznie za tak wielki dar, a że mi się zdaje, iż wiele rzeczy w tych pogadankach może was nauczyć i zabawić, że wiele się wam rzeczy wyjaśni, o jakich

na samym początku mówiłem — tedy podaję je drukiem na wasz pożytek.

Piosnka parobczaka.

Nie zazdroszczę ja ci Janie
Żeś wziął dziewkę jak jagodę,
A z dziewuchą w sutem wianie
Woły, krówki i zagrodę.

Boć z kobietą bieda święta
Jak tam jaka gwarzy stara
I kłopoty i lamenta,
W domu dziatek co niemiara,

Nie masz to jak chłopiec młody
Gdy swobodnie goni, lata,
Ładny z serca i urody
I dla Boga i dla świata.

Serce czyste, spokój w duszy
Zawsze rześki i wesoły
Bieda głowy mu nie suszy
Zawsze szczęśliw — chociaż goły.

Jest sukmana z pętlicami
Czapka z wstęgą krasą siwa
Złotkiem z ucha ślni piórami
W kiesce grajkom trzy grosiwa.

U l.

Gwarno i rojno; w promieniach słońca,
Pszczółki jak gwiazdki migają złote;

Tam i napowrót krążą bez końca,
I dalej swoją wiodą robotę.
Ta na kwitnącej lipie usiada,
I z kwiatu wonne wysysa miody,
Ta komóreczki z wosku układa,
I praca idzie raźno wśród zgody,
Więc i my w pracy pochylmy czoła,
Niech nam przykładem przyświeca pszczoła,
A zanim groźna nadejdzie zima,
Już ul zapełnia zapas obfity,
Choć w polu nigdzie kwiateczka niema
Niedozna głodu rój pracowity.

Zawiślak.

A spisz ty Maćku?

Oj gdzietam spię, tak mi jakoś markotno i straszno, że się boję i oko zmrużyć.

— Toć i mnie tak jakoś strach przejmuje. Człek się napracował przez dzień cały aż pot ciurkiem kapał, a tu w nocy jeszcze nie ma spokoju i ruszaj na straż na gościniec.

— Jeszczećby to było pół biedy, gdyby warta była taka jak dawniej. Ot tylko zahuczeć na trąbie, póki wójt nie zasnął, a potem chrapaliśmy spokojnie w karczmie aż do samego rana.

— Zjadłby licha Maćku, ktoby teraz usnąć potrafił. Toć w becyrku wyraźnie pan naczelnik zapowiedział, że się teraz wszędzie po drogach Polaki kręcą, a to jak powiadają straszni mają być ludzie.

— Jeszcze nas Symku zabiją albo zabiorą do Moskala. Maćku schowajmy się za drzewo i przykucnijmy, noc ciemna dosyć, to nas nikt nie zobaczy.

— A kiedy wyszedł taki nakaz, aby całą noc i cały dzień stać przy karczmie i nie puszczać nikogo, chyba że ma pismo przy sobie. A jakbyś nie stał, a doniosło się do becyrku, to straszna kara; rózgi albo koza.

— Ej, co tam o to, obiją toć przecie wytrzymam, zamkną, to nie na rok i jeść muszą dać, ale jak Polaki złapią i powieszą?

— Za cóżby tam mieli wieszać, gorzej jeśli każą iść na Moskali — człeka kulka nie ominie, boć tych niedowiarków, jak prochu na gościńcu, a tylko gdzieniegdzie Polak się pokaże. A strzelają z armat, że aż ziemia huczy; człek ani się opamięta, kiedy go na tamten świat wyprawią.

— Słyszałem, że pono wójt Zawiślak z Polakami trzyma, to nie będzie tak bardzo doglądał warty.

— Żeby tylko on sam, ale i Marysia jego córka nie da sobie nic powiedzieć i srodze się na mnie pogniewała, kiedym raz coś na nich powiedział. Odtąd ani na mnie spojrzy, a mnie aż serce się kraje, bo dziewczyna jak anioł. Jak popatrzysz na nią tylko raz, jużeś przepadł na wieki.

— Ej co tam pleciesz Maćku, toć i ja na nią patrzałem, a przecież mi się nic nie stało. Zapewne musiała cię oczarować, albo urzec.

— Tak ci się to zdaje, ale ja ją znam od maleńkiego dziecka i tak się jakoś do niej przyzwyczaiłem, że mi się aż przykrzy, kiedy jej nie widzę.

— Masz przecie grunt nielada i chałupę dla ciebie ojciec niedawno wystawili, toż i Zawiślak córki ci żałować nie będzie.

— Jeszczem ci go nie nie prosił, ale kiedy ojciec mój wspominali o tem, jakoś nie bardzo się ucieszył i powiedział, abym zaczekał i między ludźmi się jeszcze więcej otarł.

— A cóż ona na to powiada?

— Cóżby miała mówić: jak ojciec każe to musi; któryż to nareszcie parobek może mi zrównać majątkiem?

— Rozgadaliśmy się mój Maćku, a tu coś turkocze gościńcem od miasta. Schowajmy się, albo uciekajmy.

— Przecież nie wiesz jeszcze, kto jedzie, a nuż żyd jaki albo kto ze wsi, a takiego bać się nie potrzebujemy.

— A kiedy jaki Polak przebrany, bo Kasper Podrywka opowiadał, że oni rozmaicie się udają, to za żyda, to za chłopa, to za urzędnika. Ale, ale — przypomniałem sobie: biegnijmy czemprędzej do Podrywki i powiedzmy mu, że powstaniec jedzie; wiesz jaki on zacięty na nich i jaki chciwy na

pieniądze. Zaraz będzie myślał, że dostanie zapłatę. A może i nam się coś okroi.

— Lećmy lećmy! Prędzej Maćku, aby nie uciekł — jutro pohulamy w karczmie, kiedy nam dadzą pieniędzy. A zwijajże się — pędź! — Bierz go! chwytaj! łapaj!

— Nie krzycz hoc Szymku, jeszcześ nie przeskoczył.

— Co mi tam bajesz — Podrywka to mi zuch — on go schwyci, będziemy mieli grosze.

— Nie my, tylko on Szymku.

— Jak to nie my? My! my! mybyśmy mu i z gardła wyciągnęli.

— Niech tylko złapie.

— Biegaj!

— Ruszaj!

Wartownicy stanęli przed chatą Podrywki. Było ciemno, więc widać, że gospodarz spał na dobre. Zapukali do okna i poczęli krzyczeć: Kasprze, Kasprze, wstawajcie! — powstańcy idą! — a krzyczeli tak silnie, że i umarły byłby się zgrobu podniósł.

W to graj Kasprowi. Szybko zerwał się z łóżka, zaciągnął buty, wdział kożuch i czemprędzej wybiegł za próg.

— Witajcie mi parobcy!

— Bóg zapłać Kasprze, twardo spicie, pukaliśmy długo do okna.

— Co tam słychać chłopcy?

— Powstańcy jadą!

— Powstańcy? gwałtu! gwałtu, chwytajcie! gore, pali się!

— Ależ nie krzyczcie tak mocno panie Podrywka, cała wieś się zbudzi.

— Gwałtu! gwałtu!

— Cicho! odezwie się Maciej, toć się nie pali, powstańców nie widać.

Podrywka był to człek przewrotny, chciwy, złośliwy, a przytem pijak, jakiegoby w całej wiosce napróżno szukał. Sprzedałby i rodzonego ojca za kilka groszy, lub wódki flaszkę. Wszyscy go nie lubili, bo każdego albo oszukał, albo obmówił, albo zdradził — ale wszyscy go słuchali, jakby

księdza proboszcza lub starosty, bo się go bali, jak złego ducha. Ale w jakiejkolwiek złej i nieuczciwej sprawie, to Podrywka najlepszy przyjaciel i największy zuch. Przyznawali mu, że to mądra głowa, i wybierali go, czy to do rady gminnej, czy to do powiatu, a raz omal że posłem nie został. Tylko Zawiślak otwarcie nim gardził, nigdy mu ręki nie podał, nigdy nawet, choć nie był dumny, nie przemówił do niego. A często bardzo szukał Podrywka jakby zaczepki, często nawet wprost do Zawiślaka zagadał, ale kiedy ten się odezwał, to nigdy do niego, tylko do gromady. A mówił zawsze prawdę, otwarcie, szczerze, śmiało, tak, że Podrywka wkrótce w najciemniejszy kącik się chował, a gromada jak jeden szła za Zawiślakiem.

Toć Podrywka bał się go jak ognia, i wszędzie, gdzie tylko mógł, tajemnie dołki pod nim kopał. A zdawało mu się, że teraz najlepsza chwila po temu, bo jak wszystkim było wiadomo, Zawiślak zawsze mówił, że jest Polakiem, tak jak i wszyscy, co polsku mówią — a tu starosta Polaków łapać nakazał.

Czemprędzej tedy z oboma parobkami wybiegli na gościeniec. Fura nadchodziła powoli, Podrywka położył się w rowie po jednej stronie gościeńca, a parobków usadowił w drugim i rozkazał im tosamo robić, co on będzie robił, kiedy nadjedzie fura. Wreszcie zbliżyła się. Czemprędzej wyskoczył Podrywka z rowu i począł krzyczeć na całe gardło:

— Stój, stój! gdzie jedziesz? Paszport!

A parobcy za nim z drugiej strony, krzyczą jak opętani:

— Stój! stój! gdzie jedziesz? — Pas! (C. d. n.)

Bóbr.

Ze wszystkich zwierząt gryzących bobry są bezsprzecznie najużyteczniejsze.

Ciało bobra jasno-kasztanowate, z wierzchu tj. na krzyżu i po bokach jednostajną i w dotknięciu miękką szerścią pokryte, na podbrzuszu zaś podwójnem futrem słomianego ko-

loru opatrzone, a to w ten sposób, że pod dłuższemi włosami kryją się krótsze, miękkie i wełniaste. Nogi przednie bez płetwi, tylne zaś dłuższe i grubsze mają palce, błoną do pływania spojone; nareszcie zielonkowaty ogon jak u ryby łuskowaty.

Bobry należały dawniej w Polsce do pospolitych zwierząt. Żyły one nietylko nad brzegami wszystkich wielkich i małych rzek, lecz także znajdowały się przy stawach i bagnach, jak dzisiaj szczury. Dawne przywileje, darowizny, zamiany lub kupna majątków, ciągle o nich wspominają. Stały też i pod opieką ustaw i zwyczaju. Czacki pisze, że przywileje z XIII. wieku świadczą o egzystencji urzędników bobrowych nad Nidą i Marwią; wspomina o rejestrze bobrów z roku 1229 w księstwie Mazowieckiem. Widać w tym inwentarzu, że te bobrownie, bobrowe góry, czyli żeremnie, były porządnie prowadzone, i tak dobierano stada, aby były jednego koloru. Szczególniej za Pułtuskiem była osada czyli żeremnie czarnych bobrów sztuk 251. Prawo rozciągało i nad niemi swoją opiekę.

W następujących wiekach stopniowo ginąć poczęły; jednak jeszcze na początku teraźniejszego stulecia znajdowało ich się niemało nad brzegami Bugu, Narwi i Sanu.

Od r. 1820 do 1838 już tylko pojedyncze kolonie żyły samotnie nad Bugiem, mianowicie przy zjednoczeniu Bugu z Narwią koło Zegrza, pod Serockiem i w Terespolu; a w Galicyi w Rodatyczach koło Gródka nad Wisznią i koło Trójcy nad Styrem.

Dziś ani słychu o nich, użyteczne bobry ustąpiły z kraju, a na ich miejsce dostaliśmy przy wodach uciążliwe i szkodliwe przybysze, szczury wędrowne, które przybyły z Indyi do Europy około 1750 r., i pozajadawszy dawny gatunek szczurów zwyczajnych, pochodzenia amerykańskiego, tak się te nieproszone goście w naszym kraju wpieleszyły i rozmnożyły, że się pewnie nigdy jak bobry wyrugować nie dadzą. Trudno zrozumieć, jak można było tak do szczętu wygubić zwierzęta, tyle użyteczne, które nasi ojcowie półułaskawione jak domowe hodowali i zapisywali w majątku.

Ciekawa, dlaczego nikomu z naszych panów nie przyszło na myśl założyć bobrownie u nas, podobnie jak to uczynił n. p. książę Schwarzenberg w Wittigen w Czechach. Kosztowałoby tu tylko pierwsze urządzenie, a więc tylko początek by był trudny.

Do tego celu potrzebaby poświęcić miejsce, około 20 morgów przestrzeni mające, nad rzeczką jaką; tutaj zrobić staw 5-morgowy, a nad stawem wysadzić lasek z olszyny, topól, jew, rokicin, i innych wierzb.

W bliskości stawu, w lasku, wystawić ładny domek z czterema przegrodami; w dwóch mieszkałby dozorca, a drugie dwa służyłyby do początkowego przechowywania sprowadzonych a jeszcze nieprzyzwyczajonych bobrów. Staw i lasek powinnyby być oparkanione i rowem obwiedzione. W tym pierwszym możnaby także utrzymywać użyteczne ryby, tudzież niektóre gatunki nowszych paradnych kaczek. Wyżywienie bobrów nicby nie kosztowało; bo te zwierzęta niczem nie żyją, tylko korą z drzew, a przeto rybom nic nie szkodzą.

Mało mamy zwierząt, któreby tyle użytecznemi były jak bobry. Dorosły samiec daje 30 funtów dobrego mięsa, prócz smakowitego ogona. Mięso to ma być wyśmienite. Ogón należał dawniej do przysmaków na stołach naszych senatorów i magnatów; ma to być wyborna tłustość biała i jędrna, trochę balsamicznego zapachu. Odzież zimowa bobra daje pyszne gęste i ciepłe futro, z którego robią kołnierze do płaszczów i czapki bobrowe; skórki z czarnem futrem są najdroższe. Z włosów letnich wyrabiają kapelusze, rękawiczki itd., a ze skórki trzewiki.

Najważniejszym jednak jest tak zwany strój bobrowy, tłustość żywiczna, smaku gorzkawego i zapachu przenikliwego, znajdująca się z tyłu w dwóch torebkach w ilości 16 — 20 lutów. Jeden łut kosztuje 120 — 140 złr. w. a.

Z młodu wychowany bóbr ułaskawia się z czasem i na zawołanie przybiega; w niewoli jada chleb, bułkę itd. Głos bobra jest smętny, do płaczu podobny, i ztąd urosło zapewne przysłowie: spłakał się, lub płacze jak bóbr.

Wszyscy naturaliści i myśliwi zgadzają się, że bobry są

to niezmiernie ostrożne źwierzęta, które niebezpieczeństwo daleko wietrzą i zaraz uciekają do nor podwodnych. Zwyczajnie mało kiedy się oku ludzkiemu pokazują, gdyż wychodzą na żer tylko szarą godziną. Z tych przyczyn bardzo być może, że się jeszcze gdzie w naszym kraju i dziś ukryte znajdują, tylko o nich nie wiemy. Koło Buska ubito ostatniego bobra w roku 1862.

Teraz miejsce bobrów zajęły przy wodach nieznośne i szkodliwe szczury.

Rozmaitości.

* O pokrzywie. Roślina ta, nieszczęśliwa może dlatego tylko, że żadnej z sobą nie pozwala poufałości, użyteczną jest jednak nad wszelki wyraz. Liść, łodyga, nasienie i korzeń; ze wszystkiego liczne przemyślny i gospodarny człowiek ciągnąć może korzyści. Łodyga włóknista wybornej i najdelikatniejszej dostarcza przędzy. Przysposabia się zaś takim samym sposobem, jak len zwyczajny.

Nasienie mięszane koniom do obroku nadaje im postać wesołą i sierć połyskującą. Kurom udzielane sprawia, że więcej jaj niosą.

Korzeń pokrzywy wygotowany i zmięszany z ałunem i solą daje wyborną żółtą farbę.

Dla rogatego bydła pokrzywa wyborną daje strawę; tem dogodniejszą, że i najwcześniej i najczęściej da się zbierać i nie boi się szarug wczesnych ani przydługich słót, i rodzi się bez żadnej pomocy i uprawy poprzedniej. Na wiosnę najpierwej wybujać zaczyna, latem 5—6 razy się kosi, byle tylko łodyga zbyt nie stwardniała, gdy się ma zbierać na potraw; przeciwnie pozwala się jej rość do dojrzałości, jeśli ma być do innego użycia przeznaczoną.

Od redakcyi.

Przyszły numer „Dzwonka“ t. j. drugi, wyjdzie w Poniedziałek dnia 29 stycznia, numer trzeci we środę dnia 31 stycznia, a numer czwarty wyjdzie trzeciego lutego, i odtąd czytelnicy jak najregularniej „Dzwonek“ odbierać będą a mianowicie: 1go, 10go, i 20go, kazdego miesiąca.

Upraszamy o nadsyłanie przedpłaty, aby można wiedzieć, ile egzemplarzy drukować. Listy przekazy i reklamacye adresować należy:

„Redakcya Dzwonka“ ulica Kopernika Nr. 21.

Redaktor odpowiedz. i wydaw. Kazimierz Okaz. — Z drukarni „Gazety Narodowej.“